

Dzieciństwo

Strony rodzinne

Moje najstarsze wspomnienia... To są tylko takie niepowiązane razem obrazy. Pewnego razu – miałem wtedy chyba ze trzy lata – widziałem w Hodoninie spłoszonego konia; pędził ulicą, wszyscy się rozbiegali na boki, tylko jakieś dziecko upadło mu pod kopyta; lecz on je przeskoczył i dziecku nic się nie stało; tak to utkwilo mi w głowie. Poza tym z tego okresu pamiętam, jak w Mutěnicach mój ojciec chwycił wrony w żelazne sidła, i coś tam podobnego. Wiem, że chodziłem (w Mutěnicach) do pana kierownika szkoły, by wyprosić u niego papier i ogryzki ołówków, i bazgrałem nimi, jeszcze zanim nauczyłem się pisać.

Moje rodzinne strony to były te tereny wokół Hodonína. Tam wszędzie były dobra cesarskie, a więc gdzie tylko ojca posyłano, który w początkach swej kariery służbowej był w tych dobrach woźnicą, tam przenosiliśmy się z nim. Miałem ledwie dwa lata, kiedy przeszliśmy z Hodonína do Mutěnic, byliśmy tam do wiosny roku 1853; potem wróciliśmy do Hodonína i mieszkaliśmy w chałupie „na stawie”. Tę rozległą równinę mam również dziś przed oczami i myślę, że to dziecięce wrażenie mi zostało; dlatego lubię równiny; góry lubię z daleka, lecz mieszkam w nich niechętnie, doliny przytłaczają mnie i za mało widać w nich słońka.

W roku 1856 przenieśliśmy się do Čejkovic do dworu; po dwóch latach musieliśmy iść na rok do Čejča, potem znów do Čejkovic i mieszkaliśmy tam do roku 1862. W roku 1861 dostałem się do szkoły realnej w Hustopečach, a tymczasem moi najbliżsi znów wrócili do Hodonína, lecz już w roku 1863 posłano ich ponownie do Čejča, a stąd po trzech latach, to było w roku 1867, przeszli

z dóbr cesarskich do prywatnej służby w Miroslaviu i w majątku Suchohrdly – po niemiecku nazywał się on Socherle; najdłużej byli w Kloboukach, od roku 1870 do 1882, i tam jeździłem do nich na wakacje. Ale mój własny kraj lat dzieciennych to były Čejkovice.

Matka miała na mnie większy wpływ niżli ojciec; ojciec był zdolny, ale prosty, decydujący głos w domu miała matula. Urodziła się w Hanie¹, ale dorastała wśród Niemców w Hustopečach, więc język czeski sprawiał jej początkowo trudności. Nas, trójkę rozbrykanych dzieciaków, bardzo kochała; byłem chyba jej ulubieńcem, ale raczej zasługiwałyby na to brat Martin, z nas trzech najposlušniejszy, najczystszy, *anima candida*, jak się to mówi...

Matka była bystra i mądra, poznała kawał świata, dłuższy czas przebywała w „najlepszym towarzystwie”, chociaż tylko na służbie – była kucharką u państwa w Hodoninie; ale lubili ją, również później w trudnych sytuacjach zwracali się do niej o radę i pomoc. Z tego pańskiego towarzystwa wyniosła pragnienie, ażebyśmy my, dzieci, na tej drabinie społecznej znalazły się trochę wyżej; w dodatku dobrze jeszcze znała tę biedę, w której żyła wtedy służba i lud roboczy. Więc chciała mieć z nas, dzieci, panów – jej to zasługą było, że dostałem się do szkół.

Matka była pobożna. Lubiła chodzić do kościoła, ale mogła robić to mało kiedy, musiała harować dla rodziny. Słyszałem od niej: *Herrendienst geht vor Gottesdienst*. Przypominało mi się to później, gdy zrozumiałem rolę polityczną Kościoła oraz teorię Feuerbacha, jak religia służy polityce. Nie mogąc iść do kościoła, matka odmawiała modlitwy z książeczki do nabożeństwa; ta książeczka pełna była obrazków. Pamiętam obrazek przedstawiający umęczonego Chrystusa zlanego krwawym potem, ten lubiła najbardziej. Ja też lubiłem mu się przyglądać.

Ojciec był Słowakiem z Kopčan, urodził się jako chłop pańszczyźniany i pańszczyźnianym chłopem pozostał. W porównaniu z matką jego pozytywny wpływ na mnie był niewielki... Miał wrodzone zdolności, ale do szkół nie chodził; w Kopčanach nauczył się tylko troszkę czytać, a uczył się tego u starej kobiety, wdowy po żołnierzu, której gmina zleciła to zadanie – szkoły tam bowiem nie było; za ździebko tego czytania dzieci musiały kopać jej kartofle.

¹ Hana – region na Morawach.

Był więc człowiekiem całkowicie wiejskim, nie miejskim, prostym; żył stale na łonie natury, zwłaszcza gdy doszedł do ekonomstwa; przyrodę znał, obserwował ją, i to obserwował dobrze – przejawiał takie szczególne zrozumienie dla specyficznych zjawisk przyrody i życia. Dotąd pamiętam, jak pewnego dnia w marcu przyniósł nam za pazuchą do domu młodego zajączka marczaka, którego znalazł skulonego w zagłębieniu odcisniętym w ziemi przez końską podkowę; jak szczegółowo, żywo i interesująco opowiadał nam wtedy o całym zajęczym życiu.

Sam był nieuczony, ale nie miał nic przeciw temu, żebym się uczył, i nie wstydził się uczyć ze mną; ma się rozumieć, również tę naukę, jak wszystko, traktował utylitarystycznie: co człowiek będzie z tego miał. Pobożny nie był, ale piekła się bał i czasem chodził w niedzielę do kościoła. We wszystkich sprawach decydowała matka, on podporządkowywał się, nawet kiedy się z nią nie zgadzał.

Gdy znacznie później odwiedzał nas w Pradze, ciekawiło go tylko to, jak są podkute konie, jakie mają w Pradze dyszle, osie i koła; z pałaców na Małej Stranie interesowali go jedynie portierzy – w parę dni poznał się ze wszystkimi i chadzał do nich na pogaduszki. Po dwóch, trzech dniach miał Pragi dosyć i nie mogliśmy go już zatrzymać – chciał tylko do domu, na wieś i na łono natury!

Ja więc wyczuwałem i zauważałem u ojca skutki pańszczyzny, niewoli; służył i pracował niechętnie, z musu, swoim panom czapkował, lecz ich nie lubił. W dobrach cesarskich pańszczyzna *de facto* utrzymywała się również po roku czterdziestym dziewiątym; niechaj pan zauważy, że mój ojciec musiał prosić państwa o zezwolenie, żeby wolno mi było pójść do szkoły realnej. Pierwsze więc moje wrażenia, co tyczy się spraw socjalnych, wiązały się z tym, że widziałem, jak grubiańsko niektórzy dworscy urzędnicy traktowali mojego ojca. Często przemyślałem, jak im się za to odplacić i jak to zrobić, ażeby ich mógł za to stłuc. Gdy panowie przyjeżdżali na łowy, zostawiali u nas futra; i miałem wtedy wielką chętkę wyładować jakoś swą wściekłość na tych futrach. Po polowaniu panowie posilali się w lesie, w leśniczówce, i służący rzucali resztki ludziom, a ci się o nie bili. Raz rzucili im coś, prawdopodobnie był to makaron, ludzie tego nie znali i nazywali to glistami, ale to było im obojętne, walczyli o to jak zwierzęta.

Takie więc rzeczy utkwily mi w pamięci.